

emocje



LAUREACI EMOCJI 2022 str. 8

magazyn kulturalny RADIA WROCLAW KULTURA

ISSN 2544-1787

egzemplarz bezpłatny

lato 2022

TOP 40 80-LATKA



Dwie listy przebojów Paula McCartneya z okazji jego 80. urodzin STR. 4

Jak odbierać Radio Wrocław Kultura

1



Darmowa aplikacja mobilna Radia Wrocław Kultura. Ściągnij ją ze sklepu z aplikacjami. Zajmuje bardzo mało miejsca w pamięci, a za jej pomocą można nas zarówno słuchać, jak i oglądać streaming wideo



2



Tradycyjny odbiornik radiowy. Koniecznie z cyfrowym systemem DAB+

3



Na stronie www.radiowroclawkultura.pl. Tu można nas zobaczyć w wysokiej jakości transmisji wideo

Żyj i pozwól żyć innym



Martha Argerich zagra we Wrocławiu

STR. 3

Kino Nowe Horyzonty ma 10 lat! Piękny jubileusz. Życzymy oczywiście kolejnej super dekady, tymczasem wyliczamy, dlaczego NH to już legenda.



Kino | nowe horyzonty



KRZYSZTOF MAJEWSKI:

1. TAJEMNICA

Jak każde miejsce, które chce aspirować do miana kultowego, tak i Kino Nowe Horyzonty ma swoje tajemnice. Przez lata obsługę i przypadkowych widzów straszyl manekin Willa Smitha na zapleczu jednej z sal. Pozostawiony na lata, po promocji filmu „Faceci w czerni”, przestawiany z miejsca na miejsce, zaskakiwał swoją obecnością wszystkich, którzy otwierali drzwi ciasnego pomieszczenia technicznego. Na 2. piętrze kina nad salami numer 8 i 9 można zobaczyć stalowy mostek. Prowadzi do sporego pomieszczenia wypełnionego plakatami filmowymi. To potężna biblioteka z najróżniejszymi materiałami promocyjnymi filmów pokazywanych w ostatnich latach w kinie. Skarbnica każdego fana.

2. MIEJSCE

Praca, dom i kino. Czasami jednak można pójść do kina, a nie na film. Nowe Horyzonty idealnie realizują koncept trzeciego miejsca. Legendarni są panowie z trzeciego piętra, którzy regularnie rozgrywają partie szachowe. Przy licznych nowohoryzontowych stolikach widziałem liczne korepetycje: językowe czy przygotowujące do ma-

tury. Spotykają się tu ludzie grający w planszówki czy karcianki. Najbardziej jednak zaskoczyły mnie dwie panie siedzące przy stole zastawionym kilkunastoma lakierami do paznokci, najwyraźniej wymieniając się technikami malowania.

3. LUDZIE

To kino ma szczęście do ludzi. Są tacy, którzy pracując w stowarzyszeniu zaczynali jako wolontariusze, a kończyli jako regularni pracownicy. Inni zdobywali filmowe specjalizacje w innych firmach i z radością oraz zapalem lądowali w Kinie Nowe Horyzonty. Jednak solą obiektu są kierownicy zmiany i operatorzy. Ci pracują tu najdłużej, zaczęli jeszcze w Heliosie.

4. LEGENDA

Kiedy pyta się ludzi, co pamiętają z kina Lwów czy Lalka, często można usłyszeć, że skrzypiące fotele, upał czy wysłizgane stopnie schodów. Te drobne niedogodności dodają miejscom prawdy, a nasza niewygoda zamienia się we wspomnienia. Kino Nowe Horyzonty nie jest w najlepszym stanie technicznym. Zarówno pracownicy jak i widzowie chcieliby, żeby w kinie był najlepszy sprzęt, ale czasami z brakiem pieniędzy, na jakiś czas, trzeba się pogodzić. Ze szwankującej klimatyzacji, czy zbyt ciemnych już lamp projektorów zostaje żartować. Te



żarty staną się wspomnieniami.

5. POMYSŁY

Kino Nowe Horyzonty jest otwarte na widzów. Ich pomysły. Różne środowiska organizują pokazy w najróżniejszych kontekstach. Można tu znaleźć zarówno cykl Najlepsze z najgorszych, czyli pokazy filmów uznanych za tandetne, ale zabawne, a także Między słowami, czyli pokazy filmów z perspektywą psychologiczną. Mało? To proszę bardzo: kino dla rodziców z dziećmi? Zaprasza Wózkownia. Filmy z audiodeskrypcją? Pokazy przy współpracy z Katarzynką czekają od lat. Kobięca perspektywa? Oczywiście na pokazach w ramach Porozmawiaj z nią, a to tylko mała część tego, co w kinie robią widzowie lub kino robi dla widzów.

I JESZCZE JEDNO: Lubimy Kino Nowe Horyzonty, bo gra tam Radio Wrocław Kultura!

MIŁOSŁAWA BOŻEK:

1 Kino Nowe Horyzonty szanuję za to, że łączy mainstream z arthousem. Można tu zobaczyć komercyjne produkcje i kino niezależne. I to nie tylko w czasie festiwalu. Kameralność, wolność i różnorodność to stałe punkty repertuaru. Tu zawsze dużo się dzieje – wydarzenia i pokazy specjalne gonią premiery. Lubię to jak bardzo KNH nie ogranicza swoich widzów.

2 Kino lubię za rozmowy, na korytarzach, na tylnych schodach, na chodniku przed wejściem, w okolicznych knajpkach. W Nowych Horyzontach rozmawia się o filmach jeszcze przed seansem, po czasami słyhać kłótnie. Żywe dyskusje, krytyczne uwagi, głośny śmiech, w toaletach, przy bistro, na schodach.

3 Lubię Nowe Horyzonty za ludzi. Pracownicy powtarzają, że są rodziną. Snują peany na cześć swojego miejsca pracy i to często bawi, ale coś w tym jest. Miejsca tworzą ludzi. I tak jest w przypadku NH. Mają świetną ekipę, co sprawia, że to miejsce to więcej niż kino.

4 Budynek. Jest przejrzysty, wysoki, jasny i pełen schodów. W dzień jest tam zawsze dużo światła i ma się świetny widok z otwartej klatki schodowej na stylowe wrocławskie kamienice.

5 Lokalizacja. Będąc w centrum, mamy zawsze po drodze do kina. A z Nowych Horyzontów jest wszędzie blisko. Świętego Antoniego i Włodkowica to ostatnio bardzo modne ulice. Pełne knajp, restauracji, barów. Czy istnieje lepsze połączenie niż kolacja i kino?



Na pierwszym planie autorzy tekstów, na drugim ekipa filmu *Córka trenera*.

foto: Renata Bągińska

emocje

WYDAWCA: Radio Wrocław Kultura, Polskie Radio Wrocław SA, Aleja Karłowicza 10, 53-015 Wrocław

Redaktor naczelny: Grzegorz Chojnowski
mail: kultura@radiowroclaw.pl
telefon do studia: +48 71 78 02 320
Redaguje zespół, zastrzegamy sobie zmiany w nadany materiałach.
druk: Drukarnia Taurus

MARTHA ARGERICH ZAGRA WE WROCLAWIU

Na początku biograficznej książki Olivera Bellamy'ego pt. „Dziecko i czary” (Wyd. Literackie, tłum. Jacek Giszczak) jesteśmy razem z pianistką w Ferrarze. Tam w lutym 2004 roku ma zagrać, zaledwie po raz drugi przed publicznością, III koncert Beethovena. Zaplanowano nagranie, dyryguje Claudio Abbado. Argerich się denerwuje, podobnie organizatorzy. Bywało już w przeszłości, że odwoływała występ.



O zmiennych nastrojach argentyńskiej mistrzyni krążą legendy. Mówi się, że nie lubi planować, nie wie czasem nawet, co zrobi w następnym miesiącu, co dopiero za dwa, trzy lata. Tego Beethovena gra z Mahler Chamber Orchestra. „Twarze osób skupionych przed garderobą są bezradne – pisze Bellamy. – Maestro Abbado puka do drzwi. Lagodnym, jasnym głosem uspokaja: – Czemu się boisz, Marthita? Po prostu zagramy razem trochę pięknej muzyki! Jego delikatność i wielki entuzjazm sprawiają, że pianistka zapomina o strachu, ręce przestają drżeć. Rusza za nim po omacku; wyglądają jak dzieci z baśni braci Grimm maszerujące do jaskini za dzwiękimi fletu Szczurołapa. Koncert zatem dochodzi do skutku, widownia oklaskuje, ale wirtuozka ocenia siebie surowo: Trochę zbyt wyszukane – stwierdza kilka dni później po przesłuchaniu taśmy”.

Gdy Martha Argerich miała lat kilka (jedni piszą, że 5, inni, że 7, jeszcze inni 8), dała pierwszy oficjalny koncert. Tuż przed ukłękła podobno w łazience: „Jeżeli zgrasz choć jedną fałszywą nutę, umrzesz na miejscu” – powiedziała do siebie. W Argentynie uczyła się u Vincenzo Scaramuzzy, jako kilkunastolatka wraz z rodzicami przeniosła się do Europy. W Szwajcarii uczyła ją choćby Madeleine Lipatti, dokąd wysłał młodszą Marthę poprzedni profesor Friedrich Gulda, przekonując: „Zaczynasz grać tak jak ja. To niedobrze”. Oczywiście, w polskim kontekście kluczowym wydarzeniem był udział Argerich w konkursie chopinowskim, który wygrała w 1965 roku, jako 24-latką. Ale 8 lat wcześniej zdobyła pierwsze nagrody w Bolzano i Genewie. Do konkursu chopinowskiego jeszcze wrócimy, a teraz przywołajmy – za Oliverem Bellamy – jeden moment z pewnej lekcji z Gulda. Martha zaczęła grać etiudę Chopina, „ale po kilku taktach zatrzymała się i wybuchnęła śmiechem: – Nie idzie mi to! Teraz z kolei Gulda siadł do fortepianu: – Ha! Mnie też to nie idzie”. Wybuchnęli śmiechem. Jeden z trzech mężów Marthy,

pianista i dyrygent Stephen Kovacevich, mawia, że Chopin jest jedynym kompozytorem, w którego obecności nie chciałaby grać, tak bardzo był wymagający. Martha idzie krok dalej, zapewniając, że nawet nie chciałaby go poznać. „Zbyt kapryśny, zbyt niespokojny, zatrułby mi życie”. Natomiast z chęcią poznałaby Schumanna: „Wyciska mi lzy z oczu”. Rzeczywiście, Schumann to wielka miłość pani Argerich. Gulda się z niej trochę nasmiewał: „– To nie twoja wina, Argerich, że Schumann nie był Argentyńczykiem!”.

W 2015 roku córka Argerich, Stefanie, nakreśliła dokument o mamie. Warto obejrzeć! Film jest dostępny w Internecie na youtubeowym kanale wytwórni Euroarts. W jednej ze scen Martha Argerich leży w łóżku, przykryta kołdrą. Przewraca się na bok, wspiera na łokciu,



kamera rejestruje ekspresję jej twarzy, gesty, bystre spojrzenie. Pianistka wyznaje: *Uwielbiam Beethovena, ale kocham Schumanna. I nie potrafię tego wytłumaczyć. Są jeszcze Mozart, Schubert, ale to co innego. Z nim buchnęła śmiechem: Nie z Moim to! Teraz z kolei Gulda siadł do fortepianu: – Ha! Mnie też to nie idzie”. Wybuchnęli śmiechem. Jeden z trzech mężów Marthy,*

UWODZICIELSKA I BŁYSKOTLIWA

tha uśmiecha się uwodzicielsko. Schumann, Schumann. Co to jest? – pyta córka. – Nie wiem, nie potrafię tego wytłumaczyć – brzmi natchniona odpowiedź. To mnie głęboko dotyka. To poruszenie duszy... Nie umiem tego wyjaśnić. Coś spontanicznego, niespodziewanego... Nie wiem, trzeba posłuchać. Nie ma sensu mówić o muzyce, słowa nie wyrażą muzyki, tego, co czujesz. To niemożliwe. To jest poza słowami.

Do konkursu chopinowskiego przygotowywał Marthę Argerich Stefan Askenazy, pianista urodzony we Lwowie w końcu XIX wieku (zmarł w 1985 roku w Bonn). Wtedy Argerich nie miała jeszcze specjalnego pojęcia o muzyce Chopina, Nelson Freire twierdzi: „Nie wiedziała nawet, co to takiego mazurek”. Z rodziną Askenazy łączyła nasza bohaterkę dość bliska więź. Swą

den nie zdołał zrobić tego tak błyskotliwie jak Martha Argerich. Fenomenalna Argentynka, o stalowych palcach, od samego początku potrafiła zasugerować wielką różnorodność nastrojów, a nadzwyczajne pasaże prawej dłoni były jak błyskawice; jej tempo i sposób artykulacji w etiudzie były niezrównane”. 13 marca na zakończenie zawodów Argerich zagrała Koncert e-moll. Na podium konkursu znalazł się jeszcze Brazylijczyk Arturo Moreira-Lima oraz Polka Marta Sosnińska. Jak pisze biograf Martha Argerich, Chopin to „kompozytor, który domaga się wyłączności, gdy ona nie cierpi relacji tego typu. Ale odczuwa też do jego muzyki nieodpartą miłość”. To moja niemożliwa miłość – mawia. Grając podczas tego samego koncertu Preludia Chopina i Sonatę h-moll Liszta, czuła, że coś jest nie tak. Gdy była zadowolona z wykonania jednego utworu, drugi automatycznie ją rozzarowywał: „Chopin jest bardzo zazdrosny” – konstataje pianistka.

Teraz przeniesmy się do 1980 roku, jesień w Warszawie. Konkurs chopinowski, na którym Martha Argerich jest jurorką. Faworytem publiczności Ivo Pogorelic, niesamowity oryginał, w luźnej, białej koszuli, skórzanych spodniach. Oliver Bellamy kreślił piórną atmosferę obrad jury. „Jurorzy bardzo się podzieliłi w kwestii oceny występu Ivo Pogorelicia. Większość była pod wrażeniem, wręcz urzeczona jego suwerenną grą, ale niektórzy głośno wyrażali swą dezaprobatę. Andrzej Jasinski, profesor Krystiana Zimmana, wstrzymał się od głosu, w ten sposób uzasadniając swoje stanowisko: – Nie mogę oceniać tego rodzaju osoby. Jasinski był przewodniczącym jury. Inny z jurorów oświadczył: – Nie lubię salonowego Chopina, ale to, to po prostu disco. Jakis głos odpowiedział echem: – Zbiera mi się na wymioty! Ktoś inny, bardziej umiarkowany, wyjaśnił: – Chopin jest moją pasją. Nie mam nic przeciwko Ivo Pogorelicowi, ale nie mogę godzić się z tym, co zrobił, nie przekreślając pracy całego mego życia. Martha zwróciła się

do milczącego Siergieja Doreńskiego: – Przyjmiemy mi Horowitza. Senior jury odparł: – Nie, Horowitz jest tam (wskazując niebem, a ten jest tu (wskazując ziemię)). Okazało się, że Pogorelic nie przeszedł do finałowej dwunastki. „Martha czuła się urażona. Zabrała głos w obecności kolegów: – Proszę mi wybaczyć, czuję się zaszczyczona, że mogę brać udział w tym konkursie, ale mimo szacunku, jakim darzę z osobą każdą z zebranych tu osób, wstyd mi, że należę do tego jury. Potem wyszła”. A Pogorelic stał się najgłośniejszym nazwiskiem światowej pianistyki, z miejsca podpisał kontrakt z Deutsche Gramophone, został gwiazdą. Co by było, gdyby Argerich wtedy zachowała się inaczej? Tego się nie dowiemy. Dziś wiemy też, że chorwacki ekscentryk niekoniecznie poradził sobie ze sławą, zdziwaczał, po latach jego gra przestała wzbudzać taki zachwyt, ostatnio trochę się przebudził. Ale wtedy w latach 1980. rzeczywiście był niesamowity.

Zyciowe credo Marty Argerich to fraza „Żyj i pozwól żyć innym”. Charlesowi Dutoit, swojemu mężowi-dyrygentowi mówiła: „Wy, Szwajcarzy, macie zegarki, a my, Argentyńczycy, mamy czas”, gdy zrywał się, że zawsze, po najdłuższej podróży, znajduje chwilę na filiżankę kawy. Myliłby się jednak ten, kto posądzałby jej geniusz wyłącznie o emocje. Bruno Seidlhofer, kolejny z wielkich nauczycieli Argerich, wymienił kiedyś troje pianistów, których cenil szczególnie wysoko: u Guldy muzyka płynie z głowy, u Freidy z serca, u Argerich przez palce. W listopadzie palce Marthy Argerich dotkną jednego z fortepianów w Narodowym Forum Muzyki we Wrocławiu.



Variacje – środa 21.00, sobota 19.00
RA WROCLAW KULTURA
Grzegorz Chojnowski

Kiedyś, gdy był jeszcze bardzo młodym człowiekiem, Paul McCartney spróbował wyobrazić sobie moment, gdy będzie miał 64 lata. Sądząc z tekstu piosenki „When I’m Sixty-Four”, wydawało mu się, że interesować go będą głównie ogród i wnuki. Pewnie do głowy mu wtedy nie przyszło, że, gdy dobieje do osiemdziesiątki, wciąż będzie robił to samo, co robił w czasie, gdy pisał ten utwór, czyli będzie aktywnym artystą, wciąż tworzącym, nagrywającym i koncertującym. Przy okazji osiemdziesiątych urodzin McCartneya, pokusiliśmy się o stworzenie dwóch list jego najwspanialszych kompozycji – osobno piosenek z czasów The Beatles oraz osobno z okresu solowego (do którego zaliczamy również działalność grupy Wings). Zaczynamy od Beatlesów:



CZTERDZIEŚTKA OSIEMDZIESIĘCIOLATKA, CZYLI NAJWSPANIALSZE PIOSENKI MCCARTNEYA

PAULA

MCCARTNEYA

20 **IMDOWN**
McCartney kojarzony jest przez wielu z repertuarem balladowym. Rzekomo to Lennon był tym Beatlesem, który miał w sobie prawdziwego rock’n’rollowego ducha. A jednak, jak tylko chciał, McCartney zadziornością nie ustępował swemu przyjacielowi z zespołu. Niektóre z jego wczesnych kompozycji spokojnie można by wziąć za rock’n’rollowe standardy. W dodatku McCartney śpiewał je z energią, której nie powstydziliby się jego młodzieńczy idol Little Richard.

19 **AND I LOVE HER**
To McCartney liryczny. Piosenką, którą napisał w 1964 roku, rozmyślając o swej ówczesnej dziewczynie, aktorce Jane Asher (tej, która zagrała później główną kobiecą rolę w filmie Jerzego Skolimowskiego „Na samym dnie”).

18 **TWO OF US**
Utwór, który stworzył dla swojej kolejnej wielkiej miłości. Wprawdzie niektórzy myśleli, że bohaterami „Two Of Us” są McCartney i Lennon, ale tak naprawdę tytułowych „nas dwoje” to McCartney i Linda (wzięli ślub w 1969).

17 **YESTERDAY**
Na dobrą sprawę to pierwsza „solowa” piosenka McCartneya, jako że jego kolegów z zespołu tu nie uświadczymy. Co ciekawe, ta melodia któregoś dnia po prostu się McCartneyowi przysniła. Przez jakiś czas był nawet przekonany, że to jakaś cudza piosenka. Chodził więc po znajomych, grał im tę melodię i pytał co to takiego. Wszyscy odpowiadali, że słyszą ją po raz pierwszy. Wtedy stwierdził, że jednak sam musiał ją wymyślić.

16 **GET BACK**
Każdy, kto oglądał głośny dokument Petera Jacksona „Get Back” był świadkiem narodzin tej piosenki. W jednej ze scen widzimy, jak trójka Beatlesów nudzi się, czekając na przybycie Lennona. McCartney, nie mając nic innego do roboty, coś sobie brzdąka, i nagle widzimy, jak spod palców wychodzi mu załazek zupełnie nowego utworu. Właśnie „Get Back”.

15 **LET IT BE**
Wracając do filmu Jacksona, McCartney sprawia tam wrażenie jednego Beatlesa, któremu tak naprawdę zależy jeszcze na zespole. Jest pełen energii i pomysłów. No i w wielkiej formie, cze-

go dowodem choćby piosenka, która dała tytuł poźnalmu albumowi zespołu.

14 **THE FOOL ON THE HILL**
Film „Magical Mystery Tour”, z którego pochodzi ta piosenka, trudno uznać za arcydzieło, ale muzyka jest w nim wspaniała. A z zawartych tam kompozycji McCartneya wyróżnia się ten utwór inspirowany postacią indyjskiego guru Maharishiego.

13 **FOR NO ONE**
Poruszająca piosenka o rozstaniu. W czasie, gdy pisał ten utwór rozchodzili się jego drogi z Jane Asher.

12 **GOT TO GET YOU INTO MY LIFE**
Utwór z okresu, gdy McCartney słuchał dużo czarnej muzyki..., a także odkrywał dla siebie zakazane używki. Rezultatem obu inspiracji jest ta piosenka.

11 **GOLDEN SLUMBERS/CARRY THAT WEIGHT/THE END**
Na płycie to połączone utwory, potraktowaliśmy je więc w pakiecie. Kończyły ostatnią nagraną przez Beatlesów płytę „Abbey Road”. Trudno o wspanialszy finał kariery wspaniałego zespołu.

10 **I SAW HER STANDING THERE**
Utwór rozpoczynający debiutancki album The Beatles „Please, Please Me”. Kolejny, który brzmi jak rock’n’rollowy standard. W swej zeszlorocznej książce „The Lyrics”, McCartney pisze, że gdyby sam musiał wybierać swe najlepsze piosenki ta na pewno znalazłaby się wśród nich.

9 **HELTER SKELTER**
To McCartney jeszcze bardziej energiczny. I jest to bodaj najgłośniejszy utwór w całej jego karierze. Któregoś dnia przeczytał wiadomość z Petem Townshendem z The Who, w którym ten stwierdził, że nagrał właśnie najgłośniejszą, najbardziej brutalną piosenkę w dziejach. McCartney postanowił go przebić.

8 **I’VE GOT A FEELING**
Ta piosenka to tak naprawdę dwa osobne połączone ze sobą utwory, z których tylko jeden jest autorstwa McCartneya (drugi zaś Lennona). Ale jako że każdy z artystów śpiewa tu swoje fragmenty, łatwo zorientujemy się, że bez części McCartneya piosenka na dobrą sprawę nie istnieje.

7 **THE LONG AND WINDING ROAD**
Jeszcze jeden utwór z tego samego okresu. McCartney wyobrażał sobie piosenkę jako fortepianową balladę. Wstawki orkiestrowe zostały potem dograne bez jego wiedzy, a nawet ku jego niejakiej irytacji, przez Phila Spectora. Tak, jak wyobrażał ją sobie McCartney, można posłuchać piosenki na albumie „Let It Be... Naked”.

6 **HEY JUDE**
Teoretycznie ta piosenka nie miała prawa trafić na listy przebojów. Trwa przecież przeszło 7 minut. Była jednak tak dobra, że rozgłosnie radiowe nie potrafiły się powstrzymać przed jej nadawaniem. Okazała się najpopularniejszym beatlesowskim singlem. Początkowo tytułowe słowa brzmiały „Hey, Jules”, bo jadąc w odwiedziny do, porzuconej już przez Lennona, Cynthii i ich syna Juliana, McCartney wpadł na pomysł piosenki.

5 **SHE’S LEAVING HOME**
Rzecz o konflikcie pokoleń. McCartney’owa perelka z albumu „Sgt. Pepper’s Lonely Hearts Club Band”. Inspirowana artykułem prasowym o siedemnastolatce, która uciekła z domu, choć teoretycznie niczego jej tam nie brakowało.

4 **BLACKBIRD**
Piosenka napisana w okresie napięć rasowych w Ameryce. Zaledwie parę tygodni po zabójstwie Martina Luthera Kinga. Trzeba pamiętać, że słowo „blackbird” oznacza nie tylko kosa, ale także – w slangu – czarną dziewczynę.

3 **HERE, THERE AND EVERYWHERE**
We wspomnianej już książce „The Lyrics” McCartney pisze o tej piosence tak: „Gdy śpiewam ją dziś i przypominam sobie jak ją komponowałem, myślę sobie: Chłopak był całkiem niezły”. Po czym dodaje, że gdyby musiał wskazać jedną ulubioną piosenkę, ze wszystkich, które napisał, wskazałby właśnie tę.

2 **PENNY LANE**
Sentymentalna wycieczka po Liverpoolu, zapamiętanym z dzieciństwa. Na drugiej stronie singla znajdowało się Lennonowskie „Strawberry Fields Forever” na podobny temat. Płytką uznawana jest dziś za singiel wszech czasów.

1 **ELEANOR RIGBY**
Bez dwóch zdań, muzycznie i literacko „Eleanor Rigby” to klasa arcy mistrzowska. Nagrana w 1966 roku piosenka nie przypominała niczego, co można było wcześniej usłyszeć w muzyce pop. Co do muzyki, McCartney śpiewa do akompaniamentu orkiestry smyczkowej. A co do tekstu, w czasie, gdy utwór się ukazywał, jeden z brytyjskich poetów powiedział o tekście „Eleanor Rigby”, że to znakomity wiersz, lepszy niż wiele z tych drukowanych w książkach i czasopiśmie.

A tak wygląda Top 20 naszych ulubionych solowych piosenek Paula McCartneya:

20 **SILLY LOVE SONGS**
Przez lata McCartney nasłuchiwał się zarzutów, że pisze blache miłosne piosenki niegodne swego talentu. Irytowało go to. Wreszcie postanowił się do tych zarzutów ustosunkować. „Myślisz, że ludzie mają już dość głupawych piosenek o miłości, rozglądam się dokoła i nie wydaję mi, żeby tak było”, śpiewał chwilę potem, z ostentacją wyśpiewując w refrenie frazę „I love you” po kilkanaście razy.

19 **SING THE CHANGES**
To piosenka, którą nagrał pod szyldem The Fireman. Jego twórczym partnerem był tu Youth, znany z grupy Killing Joke. McCartney lubi współpracować z innymi artystami.

18 **HOW KIND OF YOU**
Piosenka z trochę, mam wrażenie, niedocenianej płyty „Chaos and Creation in the Backyard” z 2005 roku. To z kolei efekt współpracy McCartneya z Nigelem Godrichem, nadwornym producentem Radiohead.

17 **SOMEDAYS**
Piosenka z 1997 roku, którą zorkiestrował George Martin. Ponownie było więc jak za starych beatlesowskich czasów.

16 **TUG OF WAR**
Lata osiemdziesiąte to nie był dobry czas dla McCartneya. Niewiele rzeczy godnych uwagi stworzył w tamtym czasie. Ale płyta „Tug Of War” i tytułowy z niej utwór się bronią.

15 **HERE TODAY**
Poruszająca piosenka z albumu „Tug Of War”. Jak pisze McCartney, w książce „Lyrics”: „To miłosa piosenka do Johna, napisana tuż po jego śmierci”.

14 **TOO MANY PEOPLE**
Ten utwór z kolei pochodzi z czasów, gdy panowie byli „na noże”. Lennon poczuł się tu nawet zaatakowany i postanowił niedługo potem odpowiedzieć. Inna sprawa, że dziś ten rzekomy atak McCartneya jest praktycznie niezauważalny. W przeciwieństwie do późniejszej odpowiedzi Lennona.



13 **DEAR FRIEND**
Kolejna piosenka adresowana do Lennona. Ta pochodzi z okresu, gdy panowie rozmawiali ze sobą przede wszystkim za pośrednictwem prasy i prawników. No i piosenek.

12 **JUNK**
Urokliwa miniaturka z solowego debiutu McCartneya, płyty, którą nagrał samodzielnie. Sam jeden zagrał na wszystkich instrumentach. Kompozycja pochodzi jeszcze z czasów beatlesowskich. McCartney próbował jej nawet z kolegami z zespołu, ale ostatecznie wydał ją solo.

11 **COMING UP**
Po rozwiązaniu Wings, w 1980 roku McCartney postanowił zrobić to samo, co dekadę wcześniej po rozpadzie The Beatles, czyli pobawić się trochę w studiu i nagrać płytę w pojedynkę. Piosenka „Coming Up” bardzo spodobała się Lennonowi. Tak bardzo, że doszedł do wniosku, że czas, by i on coś stworzył. Niedługo potem powstał album „Double Fantasy”.

10 **LET ME ROLL IT**
Piosenka, która po latach doczekała się nawet polskiej wersji Elektrycznych Gitar. McCartney uważa, że najważniejszy jest w niej gitarowy riff. Być może dlatego obecnie podczas koncertów regularnie wplata w końcówkę piosenki fragment hendrixowskiej kompozycji „Foxy Lady”.

9 **JET**
Krzyk jest dobrym sposobem na rozpoczęcie piosenki, uważa McCartney. W tym przypadku wykrzykuje tytułowe słowo. Pewnie nie wszyscy wiedzą, że „Jet” to imię kucyka szetlandzkiego, którego artysta trzymał na swej szkockiej farmie.

8 **MAYBE I’M AMAZED**
Jedna z pierwszych solowych piosenek McCartneya, napisana chwilę po rozpadzie The Beatles i zagrana przez niego w pojedynkę. Ulubiona piosenka Lizzy Minelli. Ona umieściłaby ją więc na miejscu pierwszym.

7 **MY LOVE**
Kolejna piosenka o Lindzie. McCartney twierdzi, że mógłby ją zatytułować „My Linda”, ale chciał, by brzmiała uniwersalnie. Warto docenić niezwykle gitarowe solo Henry’ego McCullougha. Zachwycił się nim sam autor piosenki.



6 **LET’EM IN**
Utwór rozpoczynający album „Wings At The Speed Of Sound”. McCartney nie traktował go zbyt serio, myślał o nim bardziej jak o „wypelniaczu”. Zdecydowanie nie doceniał jego uroku.

5 **MONKBERRY MOON DELIGHT**
Czyli znowu McCartney energetyczny, który lubi sobie powrzeszczać.

4 **LIVE AND LET DIE**
Piosenka, za którą jej autor miał nawet nominację do Oscara. Napisał ją do pierwszego „Bonda”, w którym w rolę agenta 007 wcielił się Roger Moore. Przykre, że Oscara wtedy nie dostała. Ostatnio bondowskie piosenki regularnie zdobywają statuetki, choć nie dorastają kompozycji McCartneya do pięt.

3 **MULL OF KINTYRE**
Mull Of Kintyre to nazwa fragmentu półwyspu na zachodnim wybrzeżu Szkocji. McCartney miał tam swoją farmę, którą nabył w połowie lat sześćdziesiątych, a w 1977 roku nazwał tak utwór o swoim zuroczeniu miejscem. Mówił o nim jako o piosence miłosnej. Sukces odniosła niebywale. Singiel sprzedał się w liczbie większej nie tylko niż jakikolwiek płytka McCartneya z okresu jego kariery solowej, ale nawet niż jakikolwiek singiel beatlesowski. W ogóle większej niż jakikolwiek z – do tamtej pory – wydanych singli w Wielkiej Brytanii.

2 **BAND ON THE RUN**
Tytułowy utwór płyty, która okazała się przelomem w jego post-beatlesowskiej karierze. McCartney znowu miał i dobrą sprzedaż, i świetne recenzje.

1 **NINETEEN HUNDRED AND EIGHTY FIVE**
Piosenka zamykająca album „Band On The Run”. Kończy ją zresztą krótka re-pryza tematu tytułowego płyty. Z jakiegoś powodu McCartney nigdy nie zagrał jej na żywo w czasach Wings. Dołączył ją do setlisty dopiero niedawno. Zagrał utwór m.in. podczas ostatniego polskiego koncertu w Krakowie w 2018 roku.

McCartney jest jednym z nielicznych wybitnych artystów, którzy nie zdecydowali się nigdy na napisanie autobiografii, choć proszono go o to wielokrotnie. Jak twierdzi, nigdy nie miał na to czasu, bo albo był zajęty wychowywaniem dzieci, albo przebywał w trasie. Nie robił nigdy żadnych zapisków, nie prowadził żadnych pamiętników. Jedną rzecz robił za to regularnie przez całe życie – pisał piosenki. I w nich właśnie – w tej powyższej czterdziestce (i kilkuset pozostałych) – zawarł historię swego dotychczasowego życia.



Jest jednym z najoryginalniejszych gitarzystów ostatnich 40 lat. Wirtuoz, choć czystość i precyzję brzmienia porzucił na rzecz tonacyjnej i rytmicznej niedbałości. Pozornej i charakterystycznej zarazem. W końcu na sesje nagraniowe zapraszali go wielcy: T-Bone Burnett, Diana Krall, McCoy Tyner czy The Black Keys. Przez lata owocnie współpracował z ikonami sceny awangardowej: Arto Lindsayem i Johnem Zornem. Na kilku albumach towarzyszył Tomowi Waitso-
wi, w tym na przełomowym „Rain Dogs”. W 2022 roku wystąpił w Sali Czerwonej NFM we Wrocławiu.

Michał Kwiatkowski: To nie jest Twoja pierwsza wizyta we Wrocławiu. Kilka lat temu z Marią Răducănu wystąpiłeś w Synagodze pod Białym Bocianem. Pamiętasz to wydarzenie, pamiętasz Wrocław?

Marc Ribot: Pamiętam z racji tego, że po nagraniu albumu z Marią, zaprezentowaliśmy ten materiał na żywo tylko raz – w 2012 r. we Wrocławiu. Sytuacja była szczególna, poza wcześniejszą pracą w studio nie odbyliśmy przecież żadnej wspólnej próby. To wyjątkowa osoba, zarówno ze względu na ponadprzeciętne możliwości wokalne, jak i wrażliwość artystyczną. A tą potrafi zarazem. Mnie podczas sesji nagraniowych do „Zorii” jej pasja mocno się udzieliła. Te wspomnienia sprawiają, że cieszę się z mojego kolejnego pobytu w tym mieście.

Ciekawi mnie instrument, który towarzyszy Ci podczas solowej trasy. Nie przywoziłeś ze sobą słynnego Fendera Jaguara, ale starą, mocno wysłużoną gitarę. To chyba Gibson...?

Masz rację. To Gibson, model HG-00. Wiekowa gitara, w zamysle odwzorowująca gitarę hawajską, z nieco kwadratową szyjką, jak u instrumentów typu dobro. Przed laty grano na niej techniką slide, dopiero potem została zmodyfikowana do postaci klasycznej w formie gitary akustycznej. Bardzo lubię jej dźwięczne, mocne brzmienie. Była ze mną w wielu miejscach... Wygląda na bardzo wysłużoną i tak jest. Serwisant zajmujący się moim sprzętem, ostrzegł mnie jakiś czas temu, że ten instrument w dowolnym momencie może się rozpaść. Ale to tylko sprawa, że do każdego kolejnego solowego występu podchodzę ze szczególnym rodzajem ekscytacji!

Kiedy rozmawiam z gitarzystami często pytam ich o Franka Zappę. Gitary akustyczne, ich brzmienie nie fascynowały go, ale podobnie jak i Marc Ribot, był muzykiem

Marc Ribot

muzyka budząca poruszenie



na wskroś poszukującym. Czy zatem w jakikolwiek sposób fascynował Cię przed laty?

Lubiłem go, zwłaszcza w czasach liceum. Byłem w Filmore East kiedy występowali tam The Mothers, w czerwcu 1971 r. [była to część hucznego pożegnania tej sceny, zamkniętej kilka tygodni później – MK]. Szczególne wrażenie zrobiła na mnie wersja „Billy The Mountain”, która znalazła się potem na płycie [„Fil-



more East – June 1971” – MK]. Biała, prosta okładka, na której to Zappa przypominał o prawach wyborczych... W każdym razie to był bardzo długi wieczór, a nawet i noc. Pojechałem tam z kolegami. Koncert mocno się przeciągnął, wracaliśmy do New Jersey bardzo zmęczeni. To o tyle istotne, że rano miałem zaplanowane spotkanie z doradcą, który miał ocenić moje predyspozycje edukacyjno-zawodowe. Jak się domyślasz, to nie był najlepszy

W którym to było roku?

To było już po tym, gdy Ronnie wydała solową, bardzo głośną płytę. Już po rozstaniu z Philem Spectorom [„Siren”, 1980 r. – MK]. Zachowałem nawet specjalną, pamiątkową koszulkę z tego tournée. Mieliśmy wtedy naprawdę dobry zespół. Wracam do tego, bo Ronnie odeszła od nas w tym roku. Ronnie, gdziekolwiek jesteś, wiedź, że śpiewałaś piękne piosenki.

Najbardziej jednak jesteś znany ze współpracy z Tomem Waitsem. Najważniejsza płyta, jaką z nim nagrałeś, to bez wątpienia „Rain Dogs”. Pamiętasz tamtą sesję, to jak stworzyłeś swoje partie w „Clap Hands”?

Szczerze? Zupełnie nie pamiętam. Ile to już minęło, 28 lat?

37.

37?! O mój Boże! Rzeczywiście... Nie dziw się, nic nie pamiętam. Ale praca z Waitsem zawsze była czymś pomiędzy. Nie mówię Ci, co konkretnie masz robić, co zagrać. Po prostu tworzył odpowiedni klimat, nastrój, w którym potem wspólnie tworzyliśmy. Kiedy mu się nie podobało, mówił: – OK, ale zagraj to inaczej. Po prostu spróbuj.



pomyśl. Po serii pytań i moich na nie odpowiedzi, orzekł, że znajduję się w dziwnej egzystencjalnej próżni i nic ciekawego z tego nie wynika. Ale kiedy potem dostałem się na uczelnię, a on się o tym dowiedział, ponoć zawyrokował, że musieli znacznie obniżyć poziom [śmiech]. Miał o mnie niskie mniemanie, a to wszystko przez Franka Zappę. Ale mówiąc poważnie, doceniał Zappę i to, co zrobił dla muzyki. Ale muszę powiedzieć, że mężczyźni mnie jego satyryczna maniera. W latach 1980. występowałem z Ronnie Spector. Dośpiwując na koncertach harmonie wokalne w „Be My Baby”, zdałem sobie sprawę, że Ronnie ma w sobie o wiele więcej uczucia i prawdy niż wszyscy prześmiewcy razem wzięci.

Traktował nas jak malarz paletę. Wybierał instrumentalistów niczym barwy, którymi eksperymentował potem na płótnie, aż do uzyskania zadowalającego efektu. To artysta posiadający głębokie osadzenie w groove. Ma ogromne przywiązanie do rytmu, do czasu, w którym rozbrzmiewa muzyka. Tom Waits zawsze troszczył się o to, aby czas spędzony z nim wywoływał w Tobie poruszenie.



**Michał Kwiatkowski
NIE BYŁO GRANE
środa, 19:00
sobota, 17:00**

KSIAŻKA NIE TYLKO NA URLOP



SZKOŁA LUSTER

Ewa Stachniak wyjechała z Wrocławia przed stanem wojennym do Kanady. Jak się okazało, została tam do dzisiaj. Mieszka w Toronto. Bohaterki jej książek to kobiety z dawnych czasów, mocne charaktery, niepozbawione w męskim świecie szans na spełnienie. Katarzyna Wielka, Bronisława Niżyńska, Zofia Potocka... Każda inna, każda prawdziwa. Tym razem, w przypadku najnowszej powieści, zdecydowała się jednak na postacie - bo w „Szkoła luster” są dwie główne bohaterki - fikcyjne. Ale właściwie to nie jest historia wymyślona, lecz opowieść o przedrewolucyjnej Francji, gdzie młode dziewczęta hoduje się do roli kochanki arystokratów, także samego króla. Tytuł książki wiele mówi o sytuacji kobiet w ówczesnej Francji, Europie. Zresztą porowolucyjnej też, przypomnijmy: Francuzki mają prawa wyborcze od 1944 roku, Szwajcarki dopiero od 1971. Na ile to kobiety wywalczyły swoje prawa, na ile mężczyźni musieli na to przyzwolić, wycofać się - to też, pobocznie, pytanie stojące za „Szkoła luster”. Obok fikcyjnych, pojawiają się tu również osoby rzeczywiście żyjące w XVIII wieku, jak legendarny Danton czy Madame Pompadour, faworyta Ludwika XV, postać niejednoznaczna, ale i symboliczna dla tego okresu. Mecenaska sztuk, kobieta, która musiała zgodzić się na warunki męskocentrycznego świata (dodajmy: i mężczyzn wicher zmian nie oszczędza). Czy rewolucja, a szerzej oświecenie coś zmieniły? Zakończenie otwiera dla jednej z bohaterek możliwości. Marie Louise jest bowiem akuszerką, wykształconą, z dyplomem, choć nie tylko dlatego unika losu matki. Czasy są dla niej odrobinę bardziej sprzyjające, miała szczęście? To być może ulubiony chwyt literacki autorki, żeby o tzw. wielkim świecie opowiadać przez osobę niskiego stanu, na przykład służącą. Zdarzało się już w twórczości Ewy Stachniak, która należy do tych pisarek, co nie produkują książek, każe nam na nie czekać. Ale kiedy już nowa powieść się pojawia, jest świetna! (gch)

MANON z MARZEN

Ma Opera Wrocławska artystkę wielką i wspaniałą, głosowo i aktorsko. I to na etacie. Wszystko, za co się weźmie Hanna Sosnowska-Bill, każda, nawet mniejsza partia, staje się zjawiskiem i wydarzeniem.



Pamiętacie błyskotliwą rolę Millionerki w „Immanuelu Kancie” Moździerza (to ona m.in. przyniosła jej Wrocławską Nagrodę Muzyczną)? Ja mam ją ciągle przed oczami, a było to już z pięć lat temu. Wreszcie w tym sezonie mamy Sosnowskiej znów więcej w dużych, premierowych partiach. W „Manon” Masseneta jest po prostu królową. Śpiewa przepięknie, jej bohaterka ma styl, przemieniając się z podłotką w kobietę... salonową. Opuśćmy sobie konwencjonalną fabułę, we współczesnym świecie trudna do obrony, skupmy się na urodzie i liryzmie scen, tych, w których Sosnowska pokazuje takie tony i pigmenty operowej tęczy, że nie tylko podziwiać. Inscenizacja Waldemara Zawodźńskiego jest jak dla mnie zbyt ostrożna, klasyczna, oparta na sprawdzonych

patentach, większość widzów będzie pewnie zadowolona, nie douważy np. ruchowych nieporadności (scena w kasyinie, wieżniarki z finału), pominię spacerowe tło w momentach z chórem.

Powinny wystarczyć kolory, choć bierność reżysera światła (też pan Waldemar) w oym ruletkowym epizodzie nie wybaczam. Nielatwo również wytłumaczyć słabość głosową Erica

Fennella (des Grieux, ukochany Manon). Słyszę barwę ładną, ale skromną tutaj, zanikającą w duetach, nieprzekonującą w ariach. Tym bardziej że orkiestra z Bassemem Akikim śpiewaków nie

Marzenie o Met? Nie, chyba że na zasadzie – jak pewnie u wszystkich wokalistów – jakiegoś odległego, bajkowego wyobrażenia o pewnej idei, American dream. Szczerze mówiąc, nigdy nie pojmowałam swojej kariery w kategoriach celu, zadania. Dla mnie to bardziej proces niż cel, więc co przyniesie ten proces... zobaczymy.

oszczędza, grając na full. Znakomicie zabrzmiał bas Jakuba Michalskiego-ojca Kawalera (nie pierwszy raz), Mariusz Godlewski (Lescout) – wiadomo, zawsze klasa, no i bardzo ciekawy Jędrzej Tomczyk (de Monfortaine). Ale Hanna Sosnowska-Bill przycięła wszystko i wszystkich. To jej spektakl i na nią idźcie na „Manon”! W listopadzie widzę w repertuarze obsadę wyłącznie wrocławską (i na taką cieszę się najbardziej), z jednym wyjątkiem. Rolą des Grieux. Życzę widzom i Hannie lepszego partnera (ewentualnie Fennella w formie). Słyszałem same dobre słowa o Charlesie Castronovo z pierwszej obsady (wcale mnie nie dziwi). Więc może? Hanna i Charles to byłby poziom Met. A... może... Piotr Beczala? Marzenia podobno się spełniają. (gch)

WARTO ZOBACZYĆ

SPOD GRZYWKI POELZIGA

Wrocławskie Muzeum Architektury zorganizowało wyśmienitą, przestrzenną wystawę poświęconą Hansowi Poelzigowi. To jeden z najważniejszych artystów związanych kiedykolwiek z Wrocławiem, architekt, który wpłynął na pokolenia, sława Breslau z początku XX wieku.

Rodzina Briegerów w nowym mieszkaniu przy ul. Witelona 13 we Wrocławiu. Käthe Brieger siedzi z lewej strony, Hedwig Brieger po lewej stronie sofy, na taborecie prawdopodobnie Käthe Friedenthal, tożsamość pozostałych osób nie jest pewna.

Fot. ok. 1915, archiwum Freda Sterna i Katherine Stern Brennan



zane jako dar od rodziny profesora Fritza Sterna, w którego salonie przez lata stały. Piękny prezent podarowali nam Frederick Stern i Katherine Stern Brennan. Meble powstały około 1911 roku z myślą o lekarzu,

profesorze Oskarze Briegerze jako forma wdzięczności za udane leczenie. Jego córka Käthe (pedagożka) wyszła za mąż za Rudolfa Sterna (lekarza), w 1938 roku małżonkowie wyemigrowali do Stanów, nie

zapominając o (bez)cennym wyposażeniu domu. Oprócz mebli na idealnie ułożonej wystawie (kuratorzy Maria Zwierz, Jerzy Ilkosz) zobaczymy więcej projekty, koncepcje, obrazy, obejrzymy też legendarny film



„Golem” (scenografia Poelziga). „Z Wrocławia do Nowego Jorku i z powrotem. Hans Poelzig i styl tworzywa” to wydarzenie nie do przecenienia, zwłaszcza że obok można zobaczyć jubileuszowy (25 lat istnienia) przegląd twórczości współczesnej pracowni Zbigniewa Maćkowa. Czas z jednej strony nas goni, z drugiej się zatrzymał, i tak właśnie działa ten najnowszy dialog z architekturą w jedynym takim muzeum w Polsce.

EMOCJE 2022

nagrody RADIA WROCLAW KULTURA

Wręczyliśmy nasze laury, przyznawane od 2015 roku przez kapitułę Radia Wrocław Kultura. Zwycięzca otrzymuje dyplom i statuetkę autorstwa Pracowni Szklania Unikatu. Wybór jest zawsze trudny, wielu wybitnych ludzi kultury związanych jest z Wrocławiem i Dolnym Śląskiem, wiele znakomitych dzieł tworzą ku wzruszeniom i emocjom odbiorców. Gratulujemy tegorocznym laureatom i już cieszymy się na kolejny sezon i następnych laureatów!

OSOBOWOŚĆ



Jacek Głomb

- reżyser i dyrektor, twórca znakomitych spektakli, lider porywającej Drużyny Modrzejewskiej. Ciągłe zaskakujący pomysła- mi nie tylko na legnicki teatr. Osobistość.

MUZYKA



Piotr Damasiewicz

- za prawdziwie humanistyczne podej- ście do twórczości, muzyczną Jakość. Za pamięć i twórczy wkład w promocję niemater- ialnego dziedzictwa kulturowego Polski, za aktywność artystyczną we Wrocławiu i jego promocję w świecie.

SZTUKI WIZUALNE



Alicja Patanowska

- za nieustającą pasję tworzenia i dzie- lenia się sztuką, rzemiosłem i dizajnem, a także za podejmowanie kolejnych wy- zwań artystycznych łączących ważne dziś tematy ze świetną autorską formą.

LITERATURA



Marta Kisiel

- za gatunkową wszechstronność i fan- tasytyczny, pełen poczucia humoru, radości życia, wycucia formy i sztuki pisarskie- go, podwójny transfer ze świata dorosłego fantasy do literatury dziecięcej i błyskotli- wych, błyskawicznie wchodzących na ry- nek komedii kryminalnych.

MUZYKA



Aldona Bartnik

- znakomita śpiewaczka, przedsięwior- cza animatorka kultury. Doskonała so- listka, czuła kameralistka. Jej muzyczne dialogi z epokami i dziełami zachwycają krystalicznym brzmieniem, oryginalnym pomysłem.

TEATR



Sebastian Majewski

- artysta w wysmienitej formie dramatopisarskiej, re- żyser cennych przedstawień, kreator zajmujących, po- szerzających widownię sezonów w macierzystym Teatrze Szaniawskiego w Wałbrzychu.

FILM



Łukasz Grzegorzek

- reżyser-ekstenista (tenis w tym roku jest polskim sportem narodowym). Jako reżyser potrafi podkreślić fabularną piłkę, pójść na siatkę i bezpośrednią wymianę z widzem. W Moim wspaniałym życiu udowadnia, że kryzys i dramat można w kinie pokazać w sposób czuły i pełen zrozumie- nia. A Nysa w oku Grzegorzka to miejsce jednocześnie znajome w swojej codzienno- ści i magiczne. Życie z jego filmami z pew- nością może być wspaniałe.

RADIO WROCLAW 10.09.2022, godz. 19.00
zaprasza na koncert
Sala Koncertowa Radia Wrocław,
ul. Karkonoska 10

Lech
Janerka

foto: Jacek Perzba

Bilety: eventim.pl, eBilet.pl, Radio Wrocław

RADIO WROCLAW 1.10. 2022, godz. 19.00
zaprasza na koncert
Sala Koncertowa Radia Wrocław
ul. Karkonoska 10

Patrycja
MARKOWSKA
gościnnie
Grzegorz Markowski

foto: Monika Derwinsk

Bilety: eventim.pl, eBilet.pl, Radio Wrocław

RADIO WROCLAW 10.11.2022, godzina 20:00
zaprasza na koncert
Sala Koncertowa Radia Wrocław
ul. Karkonoska 10

KONCERKT
Ø R G A N E K

Bilety: eventim.pl, eBilet.pl, Radio Wrocław